



Józef Ignacy Kraszewski

HRABINA
COSEL

BUKOWY LAS

I



Na królewskim zamku w stolicy saskiej jakby wszystko wymarło, cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzieś liść żółknie na drzewach i rzadko wieją wiatry chłodne, i dni bywają weselsze jeszcze, i noce jasne i ciepłe...

Tego wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianym tle, jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, gasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się strażnicy milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta zwanego Mocnym, bo pan to był mocny do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba, w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nawet nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę. Król, zrzucony niemal z tronu, wygnany z królestwa, wrócił na kurfirstowskie gniazdo oplakiwać swe straty, wysypane próżno miliony i srogą niewdzięczność

Polaków. Sasi nie mogli pojąć, by tak szlachetnego i miłego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz „nie wdzięczność” nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu. Wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecji i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drezo po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku. Dlaczego, nikt nie wiedział. Król przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że na przekór Szwedowi August nakaże bale, karuzele i maskarady, aby mu dowieść, że swej chwilowej przegranej nie brał tak bardzo do serca...

Rzadcy przechodnie przesuwający się około zamku ulicami spoglądali na okna i dziwili się, iż tak wcześniej cisza i ciemność zapanowały u króla. Kto by wszakże, minąwszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonałby się, że zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie.

Straże tu nie wpuszczały nikogo.

Na pierwszym piętrze, mimo wichru, okna były szeroko poodmykane. Zza osłon, którymi na pół tylko były okryte, rześiste światło jarzące migало, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawała, i obiwszy się o szare mury, powoli słabym obumierał echem.

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze, to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle, jakby po przebrzmiałej mowie, zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka, by ją kto posłyszał i drugim, szyderczym odpowiedział śmiechem. Za każdym wybuchem straż, która z halabardą chodziła pod oknami, stawała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię.

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącej stolicy.

Tam król się weselił.

Od powrotu z Polski takie uczty wieczorne, nietlumne, w gronie kilku poufałych ludzi – nazwijmy ich przyjaciółmi – bywały częstsze niż dawniej; August Mocny, zwyciężony przez dziwnego, półgłówkiem zwanego Karola XII, wstydził się oczu pokazywać w licznych zebraniach, zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku. Naówczas przynoszono węgrzyna złocistego, po którego umyślnie słano na Węgry co roku, ustawiano puchary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili, gdy wszyscy z krzesel pospadali, a króla Hoffmann, pod rękę, śmiejącego się, do łoża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa magiarskiego niewiele osób było przypuszczonych: poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku pucharach dla tych, których nie cierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał herkulesową, gniew – olimpijski, a władzę – nieograniczoną. W dni powszednie, z rana, gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną na chwilę i oczy błysły, i wargi zadrżały, i odwracał się, nie patrząc na tego, co go tak rozplomienił; ale po kielichu... niejeden wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł, by nie wstać.

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki, ale jak piorun straszny. W zwykłym życiu nie było łagodniejszego pana ani słodszeo, ani łaskawszego dla wszystkich. Uważano nawet, że im kogo mniej znosił, tym dlań uśmiech miał miłszy, a w przededniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dzieśiątkami lat faworyci siadywali, August ściszał ich jeszcze jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się toć przecie panu potrzeba było koniecznie. Cóż dziwnego, że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie, żeby się jadły, lub podpijano dwóch zawziętych nieprzyjaciół, żeby się z sobą gryźli? Ten rodzaj rozrywki najmiłszym był panu, a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpu-ku. Niewinne to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich ze sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko: kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził; ile mu z kasy wzięto niedozwolonym sposobem, nawet co zamyslał który z dworaków; jeśli nie wiedział, to odgadł. Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tym, że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzył z góry na komedię życia, nie gardząc w niej olimpijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apollina, wieczorami zaś Bachusa.

Tego wieczora właśnie król się tak czuł smutny i znudzony, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

Pośrodku oświeconej sali, której jedną ścianę zajmował srebrem i pucharami jaśniejący bufet, z królującą srebrną o złotych obręczach baryłą, długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia – Wackerbarth, wreszcie domowi, Watzdorf, którego zwano chłopem z Mansfeldu, Fürstenberg, Imhoff, Friesen, Vitzthum i Hoym, i niechrównany w żartach, niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny, a umiejący rozśmieszyć, choćby się na płacz zbierało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan.

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelą, podparty na łokciu i smutny. Piękną jego twarz, zwykle jasną, oblekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypróżniony kielich stał przed nim. Kilka flasz próżnych świadczyło, że biesiadować nie teraz dopiero poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju. Bursztynowy płyn nie rozżłocił mu ponurych myśli.

Dworzanie baraszkowali między sobą, harcując słowy, aby pana rozbawić; nic to nie pomagało: August siedział zamyślony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego, bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Z ukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze.

W drugim końcu stołu siedział niepozorny, posępny Kyan i jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu wsparł,

nogi wyciągnął i w sufit patrząc, wzdychał. Był tak smutny, że się wydawał śmieszny.

– Słuchaj – szepnął Fürstenberg, trącając łokciem Wackerbartha (obaj byli już dobrze podchmieleni) – widzisz ty Najjaśniejszego Pana? Źle jest, nie może go dziś nic rozweselić... jedenasta godzina, do tej pory powinien już być w różowym humorze. Nasza wina...

– Jam tu gość – odparł Wackerbarth, ruszając ramionami – to nie moja rzecz. Wyście, znając go lepiej, środki skuteczniejsze obmyślić powinni.

– Znudzil się Lubomirską, oczywista rzecz – dodał z boku Taparel.

– Nie, bo przyznam ci się, że i tych Szwedów strawić trudno – szepnął po cichuteńku Wackerbarth. – Ja mu się nie dziwię.

– Eh, eh! Szwedów! Zapomnieliśmy tymczasem, pobije ich tam za nas kto inny, mamy pewność, że przyjedziem tylko zbierać owoce – począł, trącając w kielich, Fürstenberg. – Nie Szwedy go gryzą, ale już Lubomirskiej ma dosyć... trzeba mu inną znaleźć.

– Czyż o to trudno? – szepnął, ramionami ruszając, Wackerbarth.

– A! No, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterłę wyszukać – roześmiał się Lagnasco.

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słyszeć nie było, bo król zdawał się przebudzać jakby ze snu i wodził oczyma po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyan i król parsknął homerycznym śmiechem. Nie potrzeba było więcej, żeby cała sala za nim powtórzyła śmiech echem, choć połowa z współbiesiadników wcale nie wiedziała, z czego Najjaśniejszy Pan roześmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

– Kyan! – krzyknął król. – Co ci jest? Czy cię kochanka zdradziła? Czyś goły, czy ci nieprzyjaciel wpił się do boku? Wyglądasz jak Prometeusz, któremu niewidzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się jak drewniana lalka i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr o sześciu świecach do połowy zgasił od tego westchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

– Kyan, co ci jest? – zapytał król.

– Najjaśniejszy Panie – odparł baron – osobiście nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani zakochany, ani dłużny, ani zadrosny, ale rozpacz mnie morduje.

– Cóż się stało? Mów! – począł król.

– Nad nieszczęśliwym losem najukochańszego naszego monarchy boleję! – odparł poważnie Kyan. – Tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożym obliczem, z herkulesową siłą, z sercem wspaniałym, z męstwem niezłomnym, stworzony, aby świat ci, u stóp leżąc, służył... nie masz nic.

– Tak, to prawda – rzekł August, chmurząc brew.

– Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie umiemy; kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino kwaśnieje, pieniądze ci kradną, a gdy wieczorem rad byś odetchnąć w wesołym kółku, przynoszą ci wierni poddani twarze grobowe. Nie powinnaż mnie, co cię kocham, rozpacz porywać?!

August się uśmiechnął, ręką drżącą pochwycił puchar i stuknął nim o stół. Zza kredensu wybiegły dwa karły jak jeden i stanęły przed królem.

– Słuchaj, Tramm – zawołał August – każ podać gąsior ambrozji! Kyana robię podczaszym. Wino, któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozją zwał się węgryz królewski, który Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie wyciskanych robić kazał; było to wino nad wina, niby syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne, a mogące powalić olbrzyma.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili ukazał się czarny Murzyn we wschodniej odzieży, na srebrnej tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy wstali i witali go pokłonem, król spoglądał.

– Kyan, gospodaruj! – zawołał.

Kyan wstał. Karły niosły na drugiej tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu; szepnął im coś i małymi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwilce zjawili się z nowym szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, który zna ważność zleconych sobie obowiązków, Kyan jął się ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości królewski; dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze ministerialne

kielichy, poza nimi drobniejszych rozmiarów, jak na żart, niby naparstki w znacznej liczbie cisnęły się kieliszeczki śmieszne.

Wszyscy patrzyli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów, i ostrożnie nalewać zaczął. Napelnił najprzód wszystkie drobne. Niewiele one na pozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Kolej szła na ministerialne. Wśród powszechnego milczenia podczaszy sumiennie i te wszystkie nalał do pełna. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski – wina zabrakło. Kilka kropel z mętami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzał na Augusta.

– A! Dobry z waćpana podczaszy! – Król się roześmiał. – Dla ciebie ja jestem ostatnim. Cóż to ma znaczyć?

Śmiali się otaczający.

– Najjaśniejszy Panie – odezwał się, stawiając opróżniony gąsior na stole, Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru – jest to przecie nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią co dzień z dochodami państwa. Najprzód sobie każdy mały urzędniczek swoją kieszeń nalewa, potem starszyczna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puchar – tylko męty pozostały.

Król uderzył w dłoń, patrząc szyderczo po przytomnych.

– Kyan! Twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą.

Murzyn niósł już na tacy ambrozję. Śmiali się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno; z ukosa spoglądano na Kyana, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana... hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

– Mówmy o czym innym! – zawołał.

Fürstenberg wstał.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł – godzina nadchodzi, w której o niczym innym mówić się nie godzi, tylko o tym, co dniowi i nocy króluje: o kobietach.

– Doskonale – poparł król – każdy niech swoją kochankę opisze... Fürstenberg zaczyna.

Szyderczo uśmiechając się, wymówił król te słowa. Po twarzy Fürstenberga przebiegł grymas dziwny.

– Dane mi pierwszeństwo – odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec – dowodzi tylko, że przed okiem argusowym naszego Najmiłościwszego Pana nic się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię, i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy Panie! – dodał Fürstenberg, składając ręce. – Proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

– Nie, nie! – poczęto dokoła. – Portret być może bez podpisu, jeśli osoba ukrytą być musi, ale rozkaz Pana święty i nieodwołalny. Maluj, Fürstenberg.

Wszyscy po trosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziestoletniej wdowy po jednym z Friesenów, która słynęła z tego, że spod różu i bielidła twarzy jej widać nie było. Wdowa była bogata, Fürstenberg właśnie grosza potrzebny, wszyscy wiedzieli, że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejażdżkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstenberg ociągał, naglić tak i tupać poczęto, iż król nakazać musiał milczenie i wskazując na Fürstenberga, powtórzył:

– Nie ma litości, maluj tę malowaną kochankę, której palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi młody roztrzepaniec wychylił swój kielich do dna.

– Kochanka moja jest najpiękniejsza w świecie! – zawołał. – Może mi kto zaprzeczyć, wie kto, co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada? Moja kochanka należy do bóstwa, bo jej jednej nie zagraża to, co wszystkim innym! Piękność jej dojrzała, jaką jest, pozostanie na zawsze. Ząb czasu skruszy się o marmurowe jej kształty...

Śmiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy niemiłego wyrazu. Małe jego oczka,

świdrujące, gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakaś trwożna. Zbladły i wyzółkły... w tej chwili dopiero po ambrozji nieco rumieńca nabierał. Hoym słynał z donżuaństwa, ale jego miłostki od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano, iż się ustatkował. Chodziły wieści, że się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jej nikt. Siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmęczony przez dni kilka, dotrzymując królowi w nocnych jego biesiadach, widocznie był mocno pijany. Poznać to było łatwo po mimowolnych głowy jego ruchach, po wysiłku, z jakim dźwigał ręce ociężałe, po uśmiechu ust krzywym, po przymykających się powiekach i całej postawie zdradzającej, że sobą władać przestał.

Była to najmilsza gratka dla króla i jego towarzyszków, ministra od akcyzy schwytać w takim stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka powstrzymać nie może.

– Kolej na Hoyma! – rzekł król. – Hoym – dodał – znasz mnie, nie ma wymówki. Wiemy wszyscy, żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków niewieścich, że bez miłości żyć nie możesz; poza te ściany nie wychodzi nic. Spowiadaj się!

Hoym głową na wszystkie strony wykręcał, a ręką z próżnym bawił się kielichem.

– He! he! – zaśmiał się.

Z cicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie podniósł kielich do ust i wypił z tą bezrozumną chciwością właściwą już pijanym, których szatańskie pali pragnienie. Lice mu zaszło purpurą.

– He! he! – począł, bełkocząc. – Chcecie wiedzieć, jak wygląda moja kochanka... ale ja, mili panowie, nie mam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam za żonę boginię!

Roześmiali się wszyscy chórem, król tylko ciekawie, poważnie wpatrując się w niego, słuchał.

– Śmieście się – mówił Hoym – kto jej nie widział, ten nie widział Wenery, a myślę, że i Wenus obok niej wydałaby się praczką z przedmieścia. Mogę ja ją opisać? W jednym jej oku czarnym jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny oprzeć mu się nie potrafi. Postać jej Praksytelesa dłuto by zawstydyła.

Na jej uśmiech nie ma wyrazu, ale to bóstwo surowe i straszne i ten uśmiech nie rozkwita co dzień.

Kiwali głowami przytomni niedowierzająco, Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół.

– Opiszże ją lepiej: to są westchnienia, nie obrazy.

– Któż opisz doskonałość – dodał Hoym z podniesionymi w sufit oczyma. – Wszystkie piękności ma, a żadnej wady.

– Gotówem uwierzyć, że piękna – zawołał Lagnasco – jeśli niestały Hoym od trzech lat się w niej kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

– Przesadza! Pijany jest! – przerwał Fürstenberg. – Jak to? Piękniejsza od księżnej Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwym okiem mierząc króla, ale król rzekł spokojnie:

– Tu nie ma innych względów nad prawdę. Piękniejsza od Lubomirskiej?

– Najjaśniejszy Panie – krzyknął, unosząc się, Hoym – księżna jest kobietą piękną, a moja żona jest boginią. Na całym dworze, w całym mieście, w całej Saksonii, w Europie drugiej takiej nie ma! Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym zabrzmiała sala.

– Jaki zabawny Hoym pijany!

– Jaka pocieszna akcyza pijana!

– Co za nieoszacowany człowiek...

Król się nie śmiał, Hoym widocznie był pod wpływem ambrozji i zapominał się, gdzie był i przed kim to mówił.

– Śmiejc się! – zawołał. – Znacie mnie przecie wszyscy: sami mnie donzuanem nazywacie. Oddajecie mi tę sprawiedliwość, że na piękności niewieściej nikt się lepiej nie zna ode mnie. Dlaczegoż bym miał kłamać? To bóstwo, nie kobieta! Dość jednego jej oka, aby w najzimniejszym łonie pożar zapaliło; jej uśmiech...

To mówiąc, spojrział mimowolnie na króla. Wyraz twarzy Augusta chciwie słuchającego wykrzykników i śledzącego każde jego słowo przeraził go tak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Rad by był się cofnąć, lecz nie mógł sobie zadać kłamu i jak stężały zamilkł, pobladłszy. Próżno śmiechami i wywoływaniami

starano się go zmusić, by szedł dalej. Hoym ze strachu oprzytomniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał wlepione w ziemię i zamyślił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozji, stuknięto w kielichy.

– Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie! – zawołał Fürstenberg. – Teraz zdrowie Najjaśniejszego Apollina naszego.

Niektórzy pili na kłęczkach, inni stojąc. Hoym wstał, chwytając się, i musiał oprzeć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powracał. W głowie mu się kręciło, wypił duszkiem.

Poza krzesłem królewskim stał Fürstenberg, którego król Fürstchenem przez pieszczotę nazywał i w swych miłosnych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apollo odwrócił się ku niemu.

– Fürstchen – rzekł cicho – akcyza nie kłamie; od lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem. Trzeba go zmusić, aby nam ją pokazał. Użyj takich środków, jakich chcesz, niech kosztuje najdrożej, ale ją trzeba widzieć.

Fürst się uśmiechnął, szło to bardzo i jemu, i innym na rękę. Panująca dotąd królewska kochanka, *en titre*, księżna Teschen, miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalonego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku pałac na Pirnajskiej ulicy odziedziczyła, a Fürstenberg, choć w swoim czasie służył Lubomirskiej przeciwko innym paniom dobijającym się serca króla, gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Piękność Lubomirskiej niezbyt świetna, nieco przekwitająca, jej pańskie obejście się i ton zaczynały nudzić króla, który wołał rezolutniejsze, śmielsze, żywsze charaktery w kochankach... Fürstenberg odgadł to wszystko z wejrzenia i mowy króla. W jednej chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale wsparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha.

– Kochana akcyzo! – zawołał głośno. – Wstyd mi za ciebie, kłamałaś bezwstydnie, i to wobec Króla Jegomości, żartowałaś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego łotra jak ty i kobieciarza nie może być koczkodanem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnej Teschen ją porównywać, to były żarty!

Hoymowi znowu wino grało w głowie.

– Com mówił – rzekł z gniewem – to była prawda! *Tausend Donnerwetter! Potz und Blitz!*

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie po-
ufałej król wszystko przebaczał. Po pijanemu prości śmiertelni-
cy chwyтали go za szyję i całowali, nie lękając się, by ich Goliat
zdusił w objęciach.

– Stawię tysiąc dukatów w zakład – krzyknął Fürstenberg –
że żona twoja od innych dam dworu piękniejszą być nie może!

Hoymowi dolewano wina, akcyza piła z rozpaczy.

– Trzymam zakład! – Zgrzytnął zębami błądy i pijany. –
Trzymam...

– Sędzią... ja będę sędzią! – rzekł August, wyciągając rękę.
– A sądu zwlekać się nie godzi. Hoym natychmiast sprowadzi tu
żonę i na pierwszym balu u królowej ją przedstawi.

– Hoym, pisz! Kurier królewski powiezie list do Laubegast
– dodał ktoś z boku.

– Pisz list natychmiast! – zaczęto znowu wołać ze wszystkich
stron.

W jednej chwili podsunęto mu papier, Fürstenberg gwałtem
wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nieszczęśli-
wy Hoym, w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska
i pamięć zalotności królewskiej, sam nie wiedział, jak dyktowany
mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka
wyrwano mu go z rąk. Ktoś po schodach zbiegł w dziedzińce, aby
królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegast wyruszył.

– Fürstenberg – szepnął August – ja widzę po Hoymie, że je-
śli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła; trzeba go spoić na śmierć,
by nogą ani ręką nie ruszył.

– Jest już tak pijany, że się o życie jego lękam – dodał książę.

– A ja nie – spokojnie rzekł król – czyżby już Hoyma nikt
w świecie zastąpić nie był w stanie? A taki byśmy mu pyszny
z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili...

Uśmiezek króla tak podziałał, iż koło Hoyma kółko się sku-
piło z kielichami. Wyzywano go, wymyślano toasty, dolewano
ambrozję różnymi, z flaszek podstawianych kryjomo dobywa-
nymi płynami i w pół godziny Hoym błądy jak trup, z głową

zwieszoną, z ustami okropnie otwartymi spał, leżąc na stole. Hajducy królewscy na dany znak ponieśli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże raczej niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnajską ulicę, położono go w jednym z gabinetów królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie puszcząć go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak, wcale się nie przebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, nieprzytomny przeleżał do rana. Na sali po wyniesieniu tego trupa rozpoczęła się dopiero bachanalia; przy zamkniętych drzwiach, w ciasniejszym kółku, której świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajducy nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecię do łóżka zanieśli.

Zarzucicie mi przesadę w obrazie! Niestety – wszystkie jego rysy aż do najdrobniejszego są prawdziwe...

Fürstenberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy, zdjął perukę, tylko aby ochłodzić głowę, i zamyślił się głęboko, mówiąc do siebie:

– Będziemy tedy mieli nowe panowanie. Lubomirska nadto się też wdawała w politykę, mogła opanować króla... Na co mu rozumna kochanka? Niech go tylko bawi i kocha! To jej powołanie. Zobaczymy Hoymową...

II



Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka domków, widocznie przez możniejszych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach, w czarnych sosen i jodeł gałęziach.

Pałacyk Hoyma, do którego on się czasami z domu swojego wykradał, aby tu spędzić wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod niebytność króla tygodnie, wyglądał jak wszystkie owego czasu z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuski, z wyginanymi ozdobami i floresami po murach. Sprowadzeni ze stolicy murarze ukрасili go jak najstaranniej i na ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedzińczyk opasywała krata żelazna w słupach murowanych, na których stały piękne wazonny kamienne, na wznioślejszych nieco, przy bramie, grupy aniołków trzymały latarnie. Wchód do domu, z galerią kamienną przybraną w wazonny i figurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko z za drzew, ale smutno jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia ani licznych sług, ni ruchliwego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką

w rękę wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu zza płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to w istocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobytom zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego, ani mógł marzyć o takiej piękności. Młodziuchna kobieta wysokiej i szlachetnej postawy, biała jak marmur, z czarnymi, jasnymi, bystrzymi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swej młodości, piękności i dumy... mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutna przy tej powadze jak żalobny posąg zdjęty z grobowca. Nigdy się nie uśmiechnęło jej oko ni usta, nigdy nie spojrzała weselej w niebo. Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki, których ani zrywała, ani się poila ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwa, może była tylko znudzona. Wiedziano, że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta, nie widując prawie nikogo oprócz siostry Hoyma, Vitzthumowej, której brat też rzadko przystępu do żony dozwalał. Wiedział zapewne, że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla, a nadzieję pozostania w nich dłużej, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niej odsuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jej jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jej zabawą były książki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie, i ustronne przechadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale za to namiętności w nim nie wywoływały burzy. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury bałamut i bałamuctwem dworu podżegany, znużył się żoną i zapomniał już o niej. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie i chciał ten skarb mieć zatajonym przed oczyma ludzkimi. Tylko gdy króla i dworu nie było w Dreźnie, pani Hoym miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która naówczas śmiertelnie nudna była.

To kilkuletnie zamknięcie napoiło ją dumą, żółcią, goryczą, smutnymi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwacznym.

Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte... jako oczekiwanie równie samotnego zgonu, a była jak anioł piękna, nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu czterech i ci, co ją z dala widzieli, nie daliby jej z twarzy dziecinniej niemal ani osiemnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthum, która w gorętszym życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta nieśmiertelna dziewiczość bratowej gniewała. Gniewały ją i inne jeszcze w niej przymioty: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda, intrygi i kłamstwa, królewski majestat, z jakim z góry swej potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, może by jej nawet życzyła upadku i upokorzenia. Hoymowa nie lubiła jej wzajemnie, wstręt ku niej czując instynktowy. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę. Przez samą panią Vitzthum, po cichu szepczącą nieraz tajemne skandaliki, wiedziała Anna Hoym, że mąż nie był jej wierny. Mogła go łatwo jednym czulszym wejrzeniem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była jej pewna; nie chciała. Wydał się jej już zbyt nikczemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przyjmowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną, gdy przyszło do otwartej kłótni, czuł się tak słaby, że zwycięstwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne i długie dnie w Laubegast. Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorf, do rodziny. Lecz rodzina nie była jej bardzo przychylna, ojca i matki nie miała od dawna, a księżna Brunswicka, z domu Holsztein Plön, czyby ją znowu na dwór przyjęła? Głośnie tam było i pamiętne znalezienie się szesnastoletniej jeszcze Anny, którą książę Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla jej piękności cudnej chciał pocałować i... dostał publicznie prawie policzek. Nie miała się więc gdzie podziać biedna a piękna Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Drezna, w którym trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę pierwszej piękności, kilka lat przechadzając się po nad brzegami Elby, nad którymi nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próżniacza czereda otaczająca

panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tym swym ustroju, że ją żadne niemal nie postrzegło oko.

Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczej wisiał, niż trzymał się na dworze króla Augusta, a dostał się nań prawie mimo woli i mimo woli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz pierwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych panów, co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gniótl w ręku puchary, łamał talary i kruszył podkowsy; przy obiedzie w Piekarach, po odbytej ceremonii przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiej, źle jakoś wróżyć się zdającej przyszłości Rzeczypospolitej, ozwał się z niechcenia pono ksiądz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znał, który niemal tak samo mógł dokazywać. Piknęło to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiero początki jego w Polsce, i rzekł tylko, iż ciekawy był widzieć współzawodnika w sile, bo go jako żywo nigdy w życiu jeszcze nie spotkał. Obiecał ksiądz kujawski ubogiego onego szlachetkę pochodzącego bodaj z wielkiej, a niegdyś bardzo możnej rodziny Zaklików królowi, gdy przybędą do Krakowa po koronacji przedstawić. Ale rzecz przy tylu innych ważniejszych poszła w zapomnienie i biskup by jej nie wznawiał, postrzegłszy się, iż niezręcznie z tą paralełą wystąpił, gdyby sam król nie naparł się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego pana Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak dopiero co szkoły jako tako u Jezuitów dokończył, wahał się, sam nie wiedząc, co począć z sobą. Do wojska by był rad szedł, ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczej staremu szlachcicowi nie wypadało. Po długich więc poszukiwaniach w mieście udało się Zaklikę odkopać gdzieś po niewoli pasującego się z piórem przy kancelarii. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani przyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nierad musiał kazać oporządzić od stóp do głów i dopiero sam obejrzawszy, że mu wstydu nie robi, trzymał w pogotowiu. Król najczęściej z tą siłą przy uctowaniu występował,

gdy był dobrej myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowy sobie przynosić kazał, które dworscy zawsze na ten eksperyment w pogotowiu trzymali. Siedział biskup cicho, aż król do niego znowu: „A gdzież wasz siłacz, mój ojczec?”. Począł nalegać; sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły jak dębczak, smukły, rumiany, hoży, skromny jak dziewczyna i nie wydawał się wcale takim herku-
lesem. August, spojrzawszy nań, począł się uśmiechać. Że był szlachcic, przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiej. Rozmówić się z nim inaczej jak po łacinie było trudno, bo po niemiecku ani po francusku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szczęściem tu słów nie było potrzeba. Stały dwa puchary srebrne jednakowiusieńkie przed królem, wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i jak liść zgiał i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

Szydlerczo się uśmiechając, podsunął sam drugi Zaklice i rzekł:

– Próbuje; jeśli puchar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu, garść nastawił i objął blachę twardą; chwilkę niby się ważyło, co będzie, krew mu uderzyła do głowy... i puchar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiej odmalowało się niezmierne zdumienie, ale żywsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconym znać było. Panowie przytomni jęli dowodzić, że puchar z cieńszej był blachy albo nadkruszony.

Wziął król podkowy łamać jak obwarzanki, kazano Zaklice, i kruszył je leciuchno, nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował go w dwóch rękach i złamał też. Dano Zaklice bodaj grubszego hiszpańskiego, trochę się chłopak namyślał; ale już się też i rozpałił, a to mu sił dodało: przepołowił i talara.

Chmura popłynęła królowi po czole i markotny się stał dwór pański, że do takich nieprzyzwoitych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puchary mu darował, a potem, namyśliwszy się, powiedział, żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędnik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnęła ochmistrz, aby się nigdy nie ważył z siłą popisywać ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwisł tak przy dworze ów niebożątko Zaklika, dano mu kilkaset talarów pensji, barwę co się zowie wspaniałą, żadnej roboty, wiele swobody, ale za królem, gdzie się on ruszył, jeździć musiał. A że to było, jak mówi przysłowie, pokorne cielę, dobrze mu było. Król wprawdzie słowa nigdy doń nie przemówił, ale o nim pamiętał, pytał i nakazywał, by mu na niczym nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuszczyzny słuchać, jął się obojga języków uczyć bystro i w dwa lata już nimi dobrze w gębie obracał. Ano, z tego próżnowania i że żyć nie bardzo z szoldrami lubił, bo tak ich zwał, *salva reverentia* dla króla jegomości, gdy pora była po temu, około Drezna pieszo schodził wszystkie wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górach na drugim brzegu Elby tak urwistych, że z nich spojrzawszy, *abyssus vocat*. Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednej to z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i znalazłszy pod bezpańską lipą chłodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście. Właśnie o tej godzinie wyszła Anna hrabina Hoym na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, od razu zamarł z admiracji, tchu mu w piersi zabrakło. Oczy tarł, myśląc, że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy, patrząc a patrząc i napatrzeć się nie mogąc. Zdawało mu się, że się oczyma napasie do syta, a im dłużej patrzył, tym więcej widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota czy szal, dosyć, że do Laubegastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzał, nie było mu też komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko lekarstwo: w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopaczysko rozmiłowało, że wychudło i zgłupiało. Kobiety służące u dworu u pani Hoymowej, które wyszpiegowały go i domyśliły się pewno, co mu jest, jęły w śmiechy z niego, powiedziały o tym i pani. Śmiała się i ona i zobaczyła go niewidziana, a może się jej go i żal zrobiło, ale kazała do siebie przywołać i surowo go zgromiła, że się tu niepotrzebnie włóczył, a zakazała, aby więcej nogą około dworu nie postał.

Że przy tej rozmowie nikogo nie było, a chłopca głupota jego znać ośmielała, odpowiedział na to, że przecież patrząc, nie grzeszy, i że oprócz widzenia pani nic nie żąda; a dodał, iż choćby go tam i ukamienować miano, musi przyjść, gdyż mu srodze tęskno.

Nagniewała się, tupiąc nóżką, pani Hoymowa, grożąc, iż na niego mężowi naskarzy, a nic go to nie nastraszyło. Potem się kilka tygodni z tej strony, z której ją widzieć mógł, nie pokazywała. Chodziła do Elby, póki raz nie postrzegła, że Zaklika, po szyję w wodę się schowawszy, mimo zimnej rzeki stał tak ukryty, aby tylko ją zobaczył. Rozgniewała się tedy strasznie i poczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go skurcze porwały i odzież mu namokła ciężyla, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać, ano nieprawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną tej piękności paśł i paśł. Już czy jejmość o tym wiedziała, czy nie, nie było słyhu, a nie mówiono więcej o Zaklice. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i król by był może nawet rad, żeby gdzie karku nadkręcił, nikt o chłopcu nie słyszał. Robił i chodził, jak chciał.

Raz tylko zawezwano go do dworu, bo król był dużemu koniowi z wielkiego gniewu, w jaki wpadł, głowę jednym cięciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego ów nawet sławny Zaklika nie dokaże. Przyprawiono szkapę starą spod dragona, twardokościstą. Dawano po cichu do zrozumienia Zaklice zawczasu, aby jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój lub nie tak bardzo się zamachiwał. Temu było wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł – jak to mówiono – nikt go nie pohamował. Wobec tedy króla, panów i wielkiej cizby osób, popróbował tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwałił jak brzytwą. Mówił, że go potem tydzień ręka bolała w ramieniu, ale nic. Król, słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzję. Na Zaklikę nikt i nie spojrział już, a dworscy słudzy, których miał przyjaźniejszych, szeptali mu, że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przy lada małym czym spotka ciupa na Königsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył, a wcale się tego nie zląkł. Królewskiego tyle było zwycięstwa, że koniecznie chciał go jeszcze

próbować, wiele wina strzyma; ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklankę piwa, wina kieliszczynek, dalej nie mogąc. Więc próżne było przykazywanie królewskie, pij a pij. Gwałtem prawie wlał mu puchar węgryna, od którego jak padł, tydzień odchorował, i o mało go z tego świata nie wzięła gorączka. Ano potem do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszej jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować już nie śmiał.

I znowu chodził na wygląkanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierzchownie nawet odmienił... Anna hrabina Hoymowa, która o wszystkim mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspomniała, zdając się go już nie widzieć ani wiedzieć o nim.

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze i drągi, jak było w zwyczaju naówczas; psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, słudzy szli z kurami spać, a pani choćby dłużej przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tym nie wiedział.

Tej nocy właśnie, gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych polach jesienny wiatr bujał, w Laubegast tak go słychać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśleć.

Piękna Anna, rozebrawszy się, czytała Biblię, bo to jej było czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy Świętego Pawła. Toż myślała a rozmyślała nad nimi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jej pokoju, gdy tętent się dał słyszeć za domem, a potem jakby kto bramą żelazną targał i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nieuleknionego ducha pani poczuła się strwożoną. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiały. Rozpuszczone żołdactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy później zbiegali i po górach się kryli, tułając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyją później płacić im przyszło, gdy na nich oblawy zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to brama nie przestała dźwięczeć ani psy ujadać. Poszli tedy ludzie z bronią w dziedziniec i dopiero zobaczyli, że tam

się ze dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał i tuż za nim sześciokonny powóz stał z lokajami i służbą. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał.

Gdy go jej przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu Anna, iż coś złego stać się musiało. Pobladła nieco. Poznawszy jednak rękę męża, choć zmienioną na liście, uspokoiła się. Przyszedł jej tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaski poszedł jednej nocy do Königsteinu i zabrano mu wszystko, co miał. Sam Hoym nieraz po cichu spowiadał się jej z tego, iż królowi nie wierzy i nie będzie się nigdy czuł bezpieczny, dopóki majątku i głowy za granicę nie wyniesie.

Dowiedziona to było rzeczą, iż król, gdy najczulszy się okazywał, najwięcej się go obawiać było potrzeba, uspić bowiem pragnął, nim ofiarę swą strącił ze szczytu, i lubował się, patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, azali los kanclerza nie spotkał jej męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy i nieprzyjaciele nań szczuli ze wszech stron.

Zdziwiła się niezmiernie, postrzegłszy na bilecie męża ręką, acz widocznie zmienioną i pospieszną, kreślony rozkaz, aby natychmiast przybyła posłanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich, a i ciekawość też wiodła. Kazała więc sługom czynić natychmiast przygotowania do podróży i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegast na zawsze się za nią zamknęły.

Myśli dziwne w drodze ją opanowały. Czuła się przejęta jakimś strachem i smutna tak, że się jej na łzy zbierało. Nie wiedziała, co jej groziło i czy jej co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu po kilkuletniej niebytności wiedziano wszędzie. Z nimi razem powracały do Drezna intrygi, podstępny, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnymi środkami posługiwano. Działy się tam rzeczy na pozór lekkie i wesołe, a w istocie tragiczne.

W chwili gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, balowa muzyka przygrywała weselu tych, co zwyciężyli. Nieraz z dala patrzyła Anna na siną górę Königsteinu, pełną tajemnic i ofiar.

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedzały pochodnie dworskie i konie pędziły. Ani opatrzone się, jak stanęła karetka na bruku u domu przy Pirnajskej ulicy. Toteż choć ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było można dobrać. W domu tym, w którym Hoym zajmował pierwsze piętro, pokojów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla przyjęcia klientów naznaczone i sypialnia pańska, która wstręt wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarie i całe izby papierów. Gabinet ministra przytykał do ogromnej sali, ozdobnej wprawdzie, ale ciemnej, ponurej i smutnej. Nie zastawszy męża w domu, tym więcej się zdziwiła hrabina Anna; ale słudzy ją upewnili, iż to była „noc królewska” i że przy tej zabawie zwykle przeciągał się pobyt na zamku do dnia białego i dłużej. Zmuszona szukać przytułku i odpoczynku, hrabina musiała dziś po raz pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie bywała, znaleźć sobie jakiś kątek. Obrala gabinet z drugiej strony kancelarii ministra położony, oddzielony od innych pokojów, i tu sobie prawdziwe łóżeczko obozowe usłać kazawszy, zaryglowawszy się ze służką, próbowała usnąć nieco. Ale sen nie spłynął na powieki znużone, drzemała tylko chorobliwie, budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem.

Dzień już był biały, gdy usnąwszy głęboko na chwilę, przebudziła się, słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stąpanie. Sądziła zrazu, iż to był chód męża, i w cichości co najprędzej poczęła się z pomocą służki ubierać.

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jej jeszcze wdzięku dodawał. Znużenie podróży, niepokój, gorączka podniosły królewski wdzięk i blask urody zachwycającej. Z niecierpliwością odryglowała drzwi, które ją dzieliły od gabinetu, otwarła je i stanęła w progu.

Naprzeciw niej zamiast męża stał człowiek zupełnie jej nieznajomy, którego postawa i twarz wielkie na niej uczyniły wrażenie.

Był to mężczyzna w czarnej, długiej sukni protestanckiego duchownego, niemłody, z głową wypełzłą i błyszczącą, około której nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę wiązało. Żółtła skóra przylegała do kości jego czoła, tak iż żyły rysowały

się wszędzie wypukło. Siwe oczy głęboko wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przy tym nadawały tej twarzy ani pięknej zresztą, ani znaczącej, coś tak wybitnego i zatrzymującego oczy zdumione, iż mimo woli oderwać ich od niej nie było można.

Patrzała nań Anna, ale i on jakby zjawiskiem tej kobiety przerażony, stał nieruchomy z wlepionymi w nią oczyma, w których mimowolne malowało się uwielbienie dla cudownego boskiego tworu, podobnego aniołom. Stał i usta mu drżały i ręce się podniosły zdumieniem na pół, na pół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł, i błogosławić.

Dwie te istoty zupełnie sobie nieznane badały się tak chwilę oczyma. Duchowny cofał się z wolna. Anna oglądała się, szukając oczyma męża. Już miała nazad wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny, spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał:

– Kto ty jesteś?

III



Ja bym tu prędzej was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

– W domu waszym? – powtórzył zdumiony duchowny. – Jak to? Więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający. Duchowny spojrzal na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszej litości, patrzył długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonymi powiekami, złożył ręce jakby z rozpaczy i zwątpienia.

Anna spoglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać, zszarzana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się odżywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakimś wielkim wyrastać: stała się poważna i majestatyczna. Dumna pani czuła się przy niej onieśmielona, mała, zdziecinniała, niemal pokorna. Milczący starzec promieniał jakimś natchnieniem wewnętrznym. Nagle oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód.

– Dlaczegoż ty, którą Wszechmogący stworzył dla chwały swej, jako piękne cnoty naczynie, ty, pełna blasku istoto, podobna aniołom, nie otrząśniesz pyłu z nóg twych skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz, rozdarty szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty? – zawołał, jakby nagle rozogniony miłosierdziem. – Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz? Kto cię weń wrzucił? Kto był tym niegodziwym, co tak

piękne dziecię boże cisnął w ten świat plugawy? Czemu nie uciekasz? Dlaczego stoisz niestrwożona, a może niewiedząca o niebezpieczeństwie? Dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała, słuchając go, lecz głos starego takie na niej czynił wrażenie, iż uczuła się, może pierwszy raz w życiu, podbita i onieśmielona. Oburzał ją ten ton duchownego, a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta, on mówił dalej:

– A wiesz ty, gdzie jesteś? A wiesz, że ta ziemia, na której stoisz, chwieje się pod stopami twymi? Że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną, gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

– Cóż za przestraszające obrazy kreśliś, mój ojcie – odezwiała się wreszcie Hoymowa – i dlaczego mnie nimi chcesz zatrwodzić?

– Bo z czystego czoła i oczu twych, dziecko moje – rzekł duchowny – widzę, żeś bezpieczna, niewinna i nieświadoma tego, co cię otacza. Tyś chyba tu niedawno?

– Od kilku godzin – odpowiedziała Hoymowa, uśmiechając się.

– I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość swoją, bobyś tak nie wyglądała – uśmiechnął się boleśnie stary – nieprawdaż?

– Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie. Od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobnioną na wsi. Ledwie z dala widziała Drezno.

– A nic chyba nie słyszała o nim... – dodał stary i wstrząsł się. – Wszystko, co mi mówisz, przeczytałem na czole twym, w wejrzeniu – rzekł smutnie. – Bóg mi czasem daje zajrzeć głęboko w duszę ludzką... Niezmierną litością zostałem zdjęty, widząc cię, piękna pani; zdało mi się, że patrzę na lilię białą, rozkwitłą w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwitnąc, gdzieś wzrosła, i wonieć pustyni a Bogu.

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła przejęta kilka kroków ku niemu. W jej oczach i postawie widać było wzruszenie.

– Ojcie mój – rzekła – ty kto jesteś?

Stary zdawał się nie słyszeć, tak się zadumał głęboko. Potwórzyła pytanie.

– Kto ja jestem? – odparł. – Kto ja jestem? Nędzna istota grzeszna i wgardzona, na którą nikt nie patrzy lub się z niej

wszyscy śmieją. Jam głos wołającego na puszczy... Jam ten, który przepowiada upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli... Kto ja jestem? Naczynie w ręku Bożym, przez które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmieli. Jam ten, za którego czarną suknią biegają ulicznicy, rzucając na nią błotem, ten, którego prorocत्व nikt nie słucha. Nędzarnik wśród bogaczy, ale praw i czysty przed Panem...

I zamilkł, ostatnie słowa wymówiwszy głosem gasnącym. Spuścił głowę.

– Dziwne zrządzenie – odezwała się Anna, nie odstępując od niego. – Po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was jakby przestrogę i oznajmienie. Nie jesteście to palec boży? – Dreszcz przebiegł ją całą. – Zaprawdę dziwne! – powtórzyła.

– Opatrzne – rzekł stary – a biada tym, co litościwej bożej nie słuchają przestrogi. Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? Nikt! Ubogi kaznodzieja od kościoła, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga. Zowie się Schramm. Hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto, jak się tu dziś znalazłem. Ale kto was tu sprowadził? Kto wam tu przybyć dozwolił?

– Własny mąż! – rzekła Anna.

– Proś go, niech cię uwolni – szepnął duchowny, oglądając się trwożliwie. – Widziałem piękności tego dworu, bo je tu ludowi na ulicach pokazują jak lalki. Tyś nad nie wszystkie piękniejsza stokroć. Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz. Okoła cię siecią intryg, osnują jadowitymi pajęczynami, uśpią, upoją. Zawrócą głowę melodią pieśni, ukołyszają serce bajaniem, złudzą oczy bezwstydem. Oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spojona, znużona, osłabła, polecisz w przepaść.

Anna Hoym zmarszczyła brwi.

– Nie! – zawołała. – Nie jestem tak słaba, jak sądzicie, ani tak zasadzek nieświadoma, ani tak spragniona życia... Nie, świat ten mi się nie uśmiecha, patrzę nań z góry, niżej on ode mnie.

– Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć widziała – odparł Schramm – nie wierz sobie, uciekaj z tego piekła. Królewskie

w nim posągi popaliły się na węgiel i obrukały sadzami. Idź stąd, idź, idź, szkoda ciebie i białej niewinnej duszy twojej.

To mówiąc, ręce wyciągał, jakby ją chciał wygnać i przyspieszyć odejście. Ale Anna stała niezatrwożona, szyderczy zarazem i litości pełen uśmiech błąkał się po jej ustach.

– A gdzie ucieknę? – zawołała. – Los mój połączony jest z losem tego człowieka, oderwać go odeń nie w mocy mojej. Ja wierzę w przeznaczenie, stanie się, co mi wyznaczono. Tylko nie śpiącą i nie pijaną owładną mną, nie osłabłą i zwyciężoną, ale ja chyba im panować będę.

Schramm strwożony spojrzał: stała pełna dumy i siły, uśmiechnięta szyderczo i królująca.

W tej chwili otwarto się drzwi i hrabia Adolf Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczorajszego niekorzystnie się już wydawał; dziś po białym dniu, po nocnej gorączce i zmęczeniu wyglądał gorzej jeszcze. Mężczyzna był ogromnego wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nic szlacheckiego nie nadawało mu wdzięku, twarz pospolita odznaczała się tylko błyskawicznymi zmianami konwulsyjnie po niej przebiegających wyrazów z sobą najsprzecznieszych. Oczy szare to ginęły w powiekach, to wyskakiwały, ogniem tryskając, usta śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało, jakby potajemna władza targała we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniały. I w tej chwili, ujrawszy żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzecznieszych jakichś uczuć. Uśmiechnął się i w chwilę, jakby gniewem chciał buchnąć, nasrożył, ale się zwyciężył i zawahawszy się, wsunął żywo do gabinetu.

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz.

– Szaleńcze, fanatyku, komediancie przebrzydły! – zawołał, nie witając się nawet z żoną. – Znowuś nabroił, znowu do mnie przychodzisz, abym cię wyciągnął z topieli? Ha? Nieprawda? Wiem wszystko, pójdziesz precz od kościoła, na wieś, tam, na pustynię, do prostaczków, w góry.

Wskazał ręką.

– Ja ani chcę, ani myślę cię bronić! – dodał, zapalając się. – Podziękuj Bogu, jeśli cię dwóch dragonów odprowadzi gdzieś do kąta, bo tu by cię dalej co gorszego spotkać jeszcze mogło. Ha, myślicie! – ciągnął dalej, zapalając się, minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kołnierz. – Myślicie, że tu na dworze wolno wszystko i że to, co wy nazywacie słowem bożym, nieocukrowane, możecie podawać ustom do słodczy nawykłym? Że wy tu możecie grać rolę natchnionych apostołów nawracających pogan? Schramm, mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocalę, gubisz się sam.

Duchowny niezachwiany bynajmniej, spokojny stał, patrząc ministrowi w oczy.

– Ale ja jestem kapłanem bożym – rzekł – jam poprzysięgał dawać świadectwo prawdzie, a każą mi być męczennikiem dla niej. Niech się stanie...

– Męczennikiem! – roześmiał się Hoym. – To by było za wiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i oplwawszy, wyświecą.

– Więc pójdę – odezwał się Schramm – ale dopókim tu jest, ust nie zamknę.

– I kazać będziesz głuchym! – dodał szyderczo minister, ruszając ramionami. – No, dosyć tego, rób, co chcesz. Ratować cię nie mogę i nie myślę; tu dobrze, gdy każdy ocali siebie. Jam ci to przepowiadał, Schramm. Milczeć trzeba umieć, umieć pochlebiać lub ginąć podeptanym. Cóż chcesz, przyszły takie czasy: Sodoma i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu pokłonił się Schramm, popatrzył na żonę Hoyma z politowaniem, na niego z milczącym zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także spojrzął, oderwał wzrok ku niemu.

– Żal mi cię – burknął krótko – idź, zrobię, co mogę, ale zatop się w Biblii i trzymaj język za zębami. Ostatni raz ci to radzę.

Schramm, prawie nie słuchając, wyszedł. Małżonkowie zostali z sobą sam na sam.

Hoym nawet nie przywitał się z Anną, od dawna źle z sobą byli. Widocznie nie wiedział, od czego zacząć rozmowę. Zakłopotany stał i zły. Chwytał rękami dwa końce peruki swej i targał.

– Po cóżes hrabia kazał mi tu przybyć tak nagle? – zapytała Anna z wymówką i dumą.

– Po co? – podnosząc oczy, zawołał Hoym, zaczynając wzdłuż i wszerz biegać po gabinecie jak opętany. – Po co? Bom był szalony! Bo mnie ci niegodziwcy spoliłi, bo nie wiedziałem, com robił! Bom głupi, bom nieszczęśliwy! Bom wariat! Tak, wariat! – powtórzył.

– Więc mogę nazad powrócić? – spytała Anna.

– Z piekła się nie powraca! – zaśmiał się Hoym. – A waćpani z łaski mojej w piekle jesteś: to istne piekło!

Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła, i padł na krzesło.

– A, tak! Istotnie oszaleć przyjdzie – mruknął – lecz z królem nie ma wojny.

– Jak to? Król?

– Król! Fürstenberg! Wszyscy! Wszyscy! Nawet Vitzthum, kto wie, własna może siostra... spiknięci na mnie. Dowiedzieli się, żeś ty piękna, żem ja głupi, i kazali mi panią pokazać!

– Któż im o mnie powiedział? – zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nią, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta, zgrzytnął zębami, tupnął nogami i zerwał się z krzeselka. Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu usposobieniu, pobladł, stał się zimny i szydrczy.

– Dość tego – rzekł cicho, zniżając głos – mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię. Wezwałem panią, bom musiał ją tu ściągnąć, król chciał, a Jowisz piorunuje tych, co mu się śmiać sprzeciwiać. Dla jego zabawki musi służyć wszystko, królewskimi stopami depcze skarby cudze i rzuca je w śmieścisko... – Zniżył głos i umilkł, jakby słuchał, czy się kto nie odezwie. I począł znowu z wolna chodzić po pokoju. – Założyłem się z księciem Fürstenbergiem, że pani jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z profesji pięknych role grają. Nieprawdaż, żem był głupi? Pozwalam, byś mi to pani powiedziała. Najjaśniejszy nasz Pan ma być zakładu naszego sędzią... i wygram tysiąc dukatów.

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła z najwyższą wzdargą, odwracając się od niego.

– Nikczemny waćpan jesteś, panie hrabio! – krzyknęła w gniewie. – Jak to? Wy! Wy, coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skąpiąc mi powietrza i światła, wyprowadzacie mnie teraz jak komediantkę na scenę, abym wam wygrywała zakłady blaskiem oczu i uśmiechami? To najwyższa podłość!

– Nie szczędź, pani, wyrazów, mów, co chcesz – rzekł Hoym z boleścią – wart jestem, zasłużyłem. Wszystkiego za mało na potępienie mnie! Miałem najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy. Szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić.

Załamął ręce. Anna zamilkła i patrzyła.

– Ja jadę do domu – rzekła – ja tu nie pozostanę, wstydziałabym się sama siebie... Koni! Powóz!

Rzuciła się ku drzwiom. Hoym stał, uśmiechając się gorzko.

– Koni! Powozu! – powtórzył. – Ale waćpani nie wiesz chyba, gdzie jesteś i co cię otacza? Jesteś niewolnicą, nie możesz stąpić kroku; nie rękę, żeby straż nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieliła się wymknąć, dragoni pójdą złapać cię i odprowadzić. Nikt nie odważy się wieźć, nikt nie uzuchwali ratować. Waćpani nie wiesz, gdzie jesteś?

Hrabina załamała ręce z rozpaczą, Hoym patrzył na nią z jakimś uczuciem niewysłowionej zazdrości, żalu, bólu, szyderstwa i niepokoju.

– Nie – rzekł, dotykając z lekka jej ręki – posłuchaj mnie, pani; nie jest jeszcze może tak źle, jak ja mówię, jak przeczuwam. Mówmy z flegmą i rozsądnie. Giną tu ci, co chcą być zgubieni. Pani możesz nie być piękną, gdy zapragniesz, możesz się stać odstręczającą, surową, straszną, możesz dla ocalenia mnie i siebie przybrać postawę odrażającą. – Tu zniżył głos. – Znasz pani historię naszego Najmiłościwszego Pana a Króla, Augusta? – zapytał z dziwnym uśmiechem. – Pan to wspaniały, hojny, syjący złotem, które moja akcyza ze spleśniałego chleba ubogich wyciska. Nie ma drugiego tak wspaniałomyślnego monarchy, nie ma, który by potrzebował bawić się drożej, nieustanniej i dziwniej. Łamie podkowy i kobiety i rzuca je na

ziemię; kanclerzy, których ścisnął wczoraj, zamyka na Königsteinie. Dobry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniej godziny, aby rusztowanie osłodził. Serce ma najłitościwsze, tylko mu się sprzeciwiać nie trzeba.

Mówił coraz ciszej, a trwożliwymi oczyma biegał dokoła.

– Znasz pani historię jego! A! Ciekawa bardzo – szeptał dalej – lubi kobiety coraz świeże, coraz świeże, jak smok ów w bajce żyje dziewicami, które mu przerażeni mieszkańcy do jego jaskini wiodą, a on je pożera. Któż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszałaś ich imiona, ale obok znajomych trzykroć tyle zapomnianych. Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w atlasach, a gdy mu się one znudzą, gotów na łachmany polować. Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewej ręki, ja bym ich naliczył dwadzieścia. Königsmarck jest jeszcze piękna, Spiegel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach, ale już wszystkie go znudziły. Szuka, kogo by pożar! Dobry pan! Łaskawy pan! – dodał, śmiejąc się. – Wszakże zabawić się musi, wszak dlatego na świat przyszedł, aby mu służyło wszystko; piękny jak Apollo, silny jak Herkules, lubieżny jak Satyr, a straszny jak Jupiter.

– Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz! – wybuchnęła oburzona Anna. – Maszże mnie za tak nisko upadłą, bym na skinienie pańskie dała się sprowadzić z drogi honoru?! Waćpan mnie nie znasz! To obelga!

Hoym patrzył z politowaniem na nią.

– Znam moją Annę – rzekł z uśmiechem – lecz znam dwór, pana, ludzi, co nas otaczają, i urok, jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie, byłbym spokojnym...

– Alem przysięgała wam, to dosyć – odezwała się z dumą kobieta – nie pozyskałeś serca, ale masz słowo. Takie kobiety jak ja nie łamią przysięgi...

– Łamały i takie dla blasku korony – rzekł Hoym. – Księżna Teschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

– Mogę być żoną, nie chcę być kochanką – zawołała – sromu na czole nosić nie umiem!

– Srom! – rzekł Hoym. – A! To piecze tylko chwilę, goi się rana i nie boli, choć piętno zostaje na wieki.

– Waćpan jesteś obrzydliwy – przerwała kobieta z gniewem.
– Sprowadzasz mnie tutaj sam i karmisz takimi groźbami.

Wzruszenie nie dozwoliło jej mówić dłużej. Hoym się zbliżył z pokorą.

– Daruj mi – odezwał się – głowę straciłem, nie wiem, co czynię i co mówię... To dzikie domysły i strachy. Jutro jest bal na dworze. Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawiona królowej. Mnie się zdaje – z cicha począł, spuszczać oczy – waćpani możesz, co zechcesz, nawet nie być piękną. Ja chętnie zakład przegram. Będzie ci łatwo stać się śmieszoną, niezgrabną. U króla wiele waży elegancja, dowcip, żywość... cóż łatwiejszego, jak okazać się zaniedbaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic jeszcze. Drezno pełne jest pięknych kucharek. August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele. Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwym, postępując ku oknu.

– Każesz mi więc grać komedię dla ocalenia swojego honoru! – zawołała z uśmiechem ironicznym. – Ale ja nie cierpię fałszu. Waćpana honorowi nic nie grozi. Anna Konstancja Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet, co się na łaskę pańską biorą i dają spodlic dla garści brylantów. Nie masz się czego obawiać, bądź spokojny. Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę.

Hoym zamilkł i pobladł.

– Pani na balu tym być musisz – rzekł głosem stłumionym – tu nie idzie już o żadne dziecinne niebezpieczeństwo, ale o głowę i fortunę, o przyszłość moją. Król kazał...

– A ja nie chcę! – odparła Anna.

– Sprzeciwisz się jemu? – spytał Hoym.

– Dlaczegoż nie, panem jest wszystkiego, oprócz domu i rodziny, które do Boga należą. Cóż mi uczyni?

– A! Wam nic – rzekł niespokojnie minister – nadto dla pięknych pań jest grzeczny; ale ja pójdę na Königstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci: nędza, śmierć. – Zakrył sobie oczy rękami. – Wy go nie znacie – szeptał cicho – on się uśmiecha i jaśniej jak Apollo, ale jak bóg piorunów straszny... Nie przebaczył nigdy nikomu, kto śmiał zwątpić, że jest wszechmocny. Pani będziesz na tym balu lub ja zginę...

– A sądzisz pan, hrabio Hoym – odparła Anna – iż ta groźba waszej zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna. Hoym posunął się za nią błady.

– Na miłość bożą, o sprzeciwieniu się woli króla mowy być nie może, zaklinam was!

Kończył te słowa, gdy do drzwi zapukano żywo i służący wpadł, zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i narodził się.

– Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnawszy usta z gniewu, Hoym pospieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmowną, gdy poza nim postrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabiny, a poza nią żywo szpiegujące go oczy siostry. Zdawało mu się, że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego nikt jeszcze w mieście nie wiedział; odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście, iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechnym. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczej ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmieszany nad wyraz, dał znak słudze, który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabiny, która się była wstrzymała w progu, pokazała się w czarnych sukniach koronkami okrytych. Hrabina Reuss biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nie miała w sobie nic przerażającego. Przecież na widok jej błada już twarz Hoyma zdawała się blednąć jeszcze: zmieszał się, jakby w niej groźbę zobaczył.

Siostra jego, pani Vitzthum, towarzysząca hrabinie Reuss mogła to łatwo dostrzec w oczach brata. Na obu jednak kobiecych twarzach wykwitły tylko w zamian dwa uprzejme uśmiechy.

– Hoym! Doprawdy mogłabym się gniewać na ciebie – ozwała się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hrabina Reuss. – Jakże to być może! Żona twoja przybywa nam tu do stolicy, a ja nic nie wiem... a ja przypadkiem od Hülchen dopiero dowiaduję się o tym.

– Jak to? – krzyknął minister, nie posiadając się ze zniecierpliwienia. – I Hülchen już wie o tym?

– A! – zawołała, wchodząc, pani Reuss. – I ona, i cały świat, i wszyscy o tym tylko mówią, że nareszcie masz rozum i biednej kobiecie za kratami więdnąć nie dasz.

To mówiąc, posunęła się ku Annie, badając ją oczyma, rozpatrując się w niej, jak znawca pięknych koni patrzyłby na zwierzę na targ wyprowadzone.

– Jak się masz, droga hrabino? – rzekła, wyciągając ku niej obie ręce. – Jakżem rada, że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwsza się tu zjawiam, ale wierz mi, że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowej, pustelnico moja śliczna, przybywasz dziś, nie znasz Drezna. Każżę mi sobie pomóc. Ja i Vitzthum niepokoiłyśmy się zawczasu o ciebie. Biedna ty nasza strwożona ptaszyno!

W czasie tego przemówienia ta, którą hrabina Reuss nazwała spłoszoną ptaszyną, stała tak dumna i jaśniejąca siłą, wcale nie zatrwóźona, jakby tu panowała od dawna.

– Dziękuję wam pięknie – odezwała się spokojnie – właśnie mąż mi powiedział, że mam być na balu. Lecz jestże to koniecznością? Czy nie mam prawa zachorować choćby ze strachu, że mnie tak nadzwyczajne szczęście spotyka?

– Nie życzyłamby ci tego pretekstu używać – odpowiedziała hrabina Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu, podawszy jej rękę, przeprowadzał właśnie do ponurej sali audiencjonalnej – nikt nie uwierzy w chorobę, popatrzysz na ciebie, co wyglądasz jak Juno, pełna blasku zdrowia i siły, nikt nie da wiary przestraszowi, boś nieulekniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i korzystając z tego, że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła na ucho:

– Kochana Anno! Nie masz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać; raz przecie wyjdiesz z tej niewoli, którą dla ciebie oplakiwałam. Zobaczysz dwór, króla, świetność naszą, której równej nie ma w Europie. Ja ci pierwsza winszuję. Jestem przekonana, że los najszczęśliwszy cię czeka...

– Jam tak do mojego więzienia i ciszy nawykła – cicho rzekła Anna – iż mi już nad nie nic więcej nie było potrzeba.

– Hoym mój – dodała Vitzthumowa – spali się z zazdrości!
I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie, którym towarzyszył pomieszany minister, stały w sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła, pochylając się ku pięknej gospodyni.

– Droga moja – szepnęła – bardzom rada, że pierwsza cię witam rozpoczynając życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co. Hoym niechący podstawił ci pod nogi podnózek, po którym wejść możesz wysoko. Jak anioł jesteś piękna!

Anna milczała chwilę.

– Sądząc, że ambitna, mylisz się, kochana hrabino – odezwiała się zimno – płochę lata przeżyłam, wilem myśleć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojej. Wzdycham tylko, aby do niej i do mej Biblii powrócić.

Reuss się roześmiała.

– Wszystko to się zmieni – rzekła, wdzięcząc się do gospośi. Na teraz myślmy o jutrzejszym ubraniu. Vitzthum, patrz i złóżmy walną radę, jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa się zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

– Jakkolwiek się ubierze – odezwiała się Vitzthumowa – zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiędła. Na całym dworze nie ma żadnej, co by nie zgasła przy Annie. Mnie się zdaje, że jak najskromniejszy ubiór będzie jej jak najlepiej do twarzy. Niech inne się sądzą na róż, bielidło i fioki, jej dość choćby dziewiczej sukienki.

Rozmowa o gałgankach stała się żywa, przerywana, gorąca, polemiczna. Hrabina zrazu nie mieszała się do niej, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich zajęcie się nią nie budziło podziwu i pewnej obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiast, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz weselszy.

Hrabina Reuss z niezmierną bacznością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemniczo przypatrywała się jej z jakimś niepokojem dziwnym; zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcej usłyszeć nad to, co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia rannego w stan jej

wiekowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wielką łatwością słówkami iskrzącymi tysiącem ostrych brylantów. Z odwagą, ze szczerością niezwykłą opowiadała o sobie, swych uczuciach i przeczuciach. Pani Reuss przyklaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uściskać, tak się ucieszyła żwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewiczą zachował potęgę.

– Cudowna Anna nasza! Zachwycająca, niezrównana! – wołała. – Jutro wieczorem cały dwór u kolan jej leżeć będzie. Hoym wcześniej powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znowu, ona, co tak jest skłonna do mdłości odkrywających jej wdzięki!

Vitzthumowa śmiała się. Reuss opowiadała z tego powodu młodej pani, jak księżna Lubomirska zdobyła króla serce omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także, ranny mocno w nogę, stracił przytomność. Przebudzenie było rozkoszne, bo August klęczał u nóg jej, gdy po raz pierwszy otwarła oczy.

– Niestety! – dodała Reuss. – Dziś, gdyby nawet napadły ją mdłości, król by się może raczej przestraszył, niż uradował nimi. Przeszły pierwsze zapaly. Na jarmarku lipskim Najjaśniejszy Pan puścił sobie cugle i dokazywał z francuskimi aktorkami. Co gorzej, mówią, że się szalenie zakochał w księżnie Anhalt-Dessau, od której doznał tylko nielitościwej oziębłości. Fürstenberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i gotów by jakiej piękności uczynić z niego ofiarę.

– Spodziewam się – rzekła obrażona nieco Anna – iż mnie, kochana hrabino, nie posądzisz o to, bym stanęła w rzędzie z francuskimi aktorkami, choćby po drugiej stronie księżne się znalazły. Serce królewskie wcale niewesołym jest darem, a moje coś więcej warte niż resztki po księżnie Teschen.

Reuss zarumieniła się mocno.

– Cicho, cicho, dziecko jakieś – odezwała się, oglądając – któż ci mówi o tym. Papełmy o wszystkim... Dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowana. Vitzthum i ja przyślemy ci kupców naszych i szwaczki. Jeśliś swoich brylantów nie wzięła z domu albo ci ich braknie, Meyer pożyczycy w największym

sekrete, jakich tylko zapragniesz, niewidzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny. – To mówiąc, wstały obie i poczęły ścisnąć Annę, która milcząc, do drzwi salonu je przeprowadziła. Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akcyzy.

U schodów na dole stała karetka hrabiny Reuss, do której wsiadły obie. Jakiś czas milczały zamyślane. Vitzthum pierwsza przerwała to zadumanie:

– Co wróżysz? – spytała.

– To nieuchronne – szepnęła hrabina – to konieczne. Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumna jest, będzie się szczęściu opierać długo, ale nic króla więcej nie drażni nad taki opór, z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękna, śmiała, dowcipna, dziwaczna; wszystko to przymioty, które nie tylko ciągną, ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz jak najlepiej, nim pochwyci w ręce wodze, potem byłoby za późno. Ja ciebie, ty mnie wspomagaj, dajmy sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u tej nudnej, sentymentalnej księżnej nigdy nic zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne: królowała nam za długo. Schodzi z pola, król się nudził, a jeśli kiedy, to teraz, gdy jest tak nieszczęśliwy, pociechy potrzebuje i rozrywki. Fürstenberg, ja i ty potrafimy to nareszcie, że ją obalim. Dość mamy wszyscy tej cudzoziemki. Trzeba tylko całą intrygę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da, nadto jest dumna.

– Biedny Hoym! – Vitzthumowa się zaśmiała. – Jeśli będzie miał rozum...

– Zyska na tym, nie kochał jej od dawna rozpustnik – przerwała hrabina Reuss. – Choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

– Posądzam Fürstenberga!

Hrabina Reuss zmierzyła ją bystrym przelotnym wejrzeniem i w oczach jej błysnęło na chwilę coś jakby iskierka szyderstwa. Ruszyła ramionami.

– A są osoby predestynowane! – rzekła z ironią. Nagle, po kobiecemu jakoś, zaśmiała się głośno. – Wiesz – dokończyła – powinna włożyć suknię pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecinnej świeżości, będzie jej cudnie do twarzy. Uważałaś, jaki to ogień w tych oczach?


– I jaka duma, niestety! – dodała Vitzthumowa.

– Niech no króla zobaczy! – zakończyła pierwsza. – Niech August zapragnie się jej podobać, rączkę ci, i głowę, i dumę straci.

Polub nas
na Facebooku 

KUP TERAZ

 swiatksiazki.pl



Śliczna Anna Konstancja Cosel, żona wysokiego
urzędnika na dworze Augusta II Mocnego,
zgadza się zostać królewską metresą. Stawia
jednak twardy warunek: w przyszłości będzie żoną
monarchy. Anna wie, że życie pełne przepychu,
ciesząc się swym wpływem na króla,
lecz z czasem i ona pada ofiarą dworskich intryg
oraz zmiennych upodobań...
Kto pozostanie wiernie u jej boku,
a kto porzuci ją na zawsze?

Nr 21000078

ISBN 978-83-8074-460-8



9 788380 744608

bukowylas.pl

Połącz nas na
Facebooku



Cena 49,90 zł
(w tym VAT)